



№ 37.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 września 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Na Powązkach (fragment gawędziarski z drzew.) - Kronika tygodniowa. - Przegląd polityki zagranicznej. - Egzamin w Ochronie ks. Baudouina (z dzeworytem). - Szkice z życia warszawskiego (cynkoryt). - Przegląd piśmienniczy. - Zrozpaczona (pieśń do śpiewu). - Szachy. - Rebus. - Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg). - Listy Teofila Lenartowicza o literaturze i sztuce włoskiej (dokoń.). - Nieśmiały, komedia w jednym akcie, według Edwarda Paillerona i Mur mitoyen, ułożył wierszem Kazimir Kaszewski. - Dodatek nadzwyczajny: Pierścień Amazysa, powieść przez Owena Meredith'a.

NA POWĄZKACH.

(Fragment gawędziarski)

Z sąsiedniemi babami
Wciąż się kłóćąc zażarcie.
Przechodziłem się blisko,
Aż ukończy pacierze,
Aż odmówi dziadzisko
„Ojce,“ „Zdrowaś“ i „Wierzę.“
Potem wsparłem go skrycie, —
On wszedł ze mną w gawędę,

A gdy sobie życzycie,
Ja też milczeć nie będę,
I choć snu mi ołowiem
Noc na oczy zapada,
Jednak wiernie opowiem
Co słyszałem od dziada.

* * *

W dół ponury, głę-
[boki,
W przepaść głuchą i
[czarną,
Już sypnięto na zwło-
[ki
Ciężką ziemię cmen-
[tarną.
Ludek modły zasyła,
Smutek serca powle-
[ka,
Świeża wzrosła mogi-
[ła,
Ot, i koniec człowie-
[ka!...

Gdy ostatnie już pie-
[śnie
Księża wzniesli ku
[niebu,
Zadumany boleśnie
Powracałem z po-
[grzebu.

* * *

Przy cmentarzu, pod
[murem,
Kłowiąc w kabzę gro-
[szaki,
Rozpostarli się sznu-
[rem
Powązkowskie żebra-
[ki.

Dziad kulawy ze ła-
[mi
Począł prosić o wspar-
[cie,



„Na poddaszu wśród
[miasta,
Gdzie nie wzbilo się
[złoto,
Żyła biedna niewia-
[sta
Ze swą córką Dorotą.
Mąż i ojciec legł w
[grobie,
Znikł dobytek z nim
[cały.
Więc sieroty te obie
W strasznej biędzie
[zostały.
Matka na chleb po-
wszedni,
Choć ją boleść osła-
[bia,
Ot, zwyczajnie jak
[biedni,
Ciężkim trudem zara-
[bia.
Dosia wabna, jak
[grzechy
I załotne ladaco,
Stroi minki, uśmie-
[chy,
Ani zajmie się pracą,
Tylko zerka i zerka
Filuternie, zdradzie-
[cko,
To w kawałek luster-
[ka,
To na młodzież są-
[siedzka.

* * *

Był na świecie gagatek,
Jedynaczek u papy,
Co zbił grosza dostatek,
Sypiąc chłopom harapy.
Ów gagatek-kochanek,
Ufny w ojca grosiwo,
Do miłostek, kart, szklanek
Jał się z młodu co żywo,
Włożył na się żantile,
Przywdział modne oznaki.
Papa widział to mile,
Że synalek pan taki,
I sam chodząc w kapocie,
Pragnął wmówić w świat Boży,
Że niepróżno ma krocie,
Bo Jaś za nie cud stworzy.
A Jaś, dryblas już wielki,
Tracił ojca rubelki.

Dosia, istna jagódka,
Straszna była filutka;
Jaś lat kilka z okładem
Był Dosinym sąsiadem,
Lub, jak lepiej tam komu,
W jednym mieszkał z nią domu.
Złe do złego przylega,
Niby smoła do osi;
Więc pogłoska obiega,
Że Jaś miłym jest Dosi.
Papa na grom tych gadek
Zbyt ciekawych sąsiadek,
Na przyjaciół gawędy,
Skarcił syna za błędy;
Lubo serce miał czułe,
Zamknął przed nim szkatułę
I tak gdęrał, tak rzędził,
Aż do pracy zapędził.

Dosia wnet się kochanka
Po téj zmianie wyrzekła
I pewnego poranka
Od swéj matki uciekła.
Gdzie i poco? — w tém właśnie
Tajemnica się mieści,
Ludek długo plół baśnie,
Matka... zmarła z boleści.

Jaś pracował rok może
W jakimś małym kantorze,
Lecz że dusza w nim wzniosła,
Wrócił lotem Farysa
Do dawnego rzemiosła
Próżniaczego dandysa.
Mając zdolność już wszelką,
Brał *frajerów* na *lape*,
Przytém skryptów moc wielką
Powystawiał na pape.
Gdy na przyszłość nie baczy,
Gdy podwaja te psoty,
Papa skonał z rozpaczy,
Tak jak matka Doroty.

Wielbiąc losu wypadek
Upragniony i miły,
Jaś krociowy wziął spadek
I nuż hulać co siły.
Począł tedy żyć z *szykiem*,
W wyższe sfery wszedł wreszcie,
Eleganckim koczkiem
Jeździł sobie po mieście;
Z prawdziwymi magnatami
Żył jak z braćmi ty a ty,
Bo dziś w świecie jedynie
Sądzą ludzi po minie.

Lecz się miarka przebiera,
Złoto z nieba nie kapie,
Pan Jan wkrótce do zera
Stracił krocie po papie.
Na rewersa, na kwitki
Nie chcą dawać już Żydki.
Poszedł koczki i konie,
Znikły Loursy i łoże,

Janio w żadnym salonie
Odtąd bywać nie może.

Na wytwornéj kozecie,
W buduarze jak cacko,
Wielka dama w sajecie
Siedzą z miną magnacką.
Wszak to Dosiał... Chcesz panie
Znać jéj życia koleje?
Wnet ci powiem, — a na nie
Twoja dusza zdrętwieje.

Po ucieczce od matki...
Zresztą zgadnij i basta, —
Wielkiej niema zagadki
Jak zła żyje niewiasta,
Bo historia Dosina,
To historia jest wielu;
Dość że nędzna dziewczyna
Prędko doszła do celu.

Przyszła starość, — z nią zguba,
Bo przebrała się miara;
Starość jednym — to chluba,
Starość drugim, — to kara!...

Wiész już wszystko, młodzieńcze,
Daj co jeszcze dla dziada,
A tę powieść uwieńczyć
Epilogiem nie lada.

Choć mnie wspomnień szelestem
Honor milcząc nagaba,
Patrz, tym Jankiem — ja jestem,
A Dorotką — ta baba!...

Hal hal... w oczach ci ciemno,
Patrzysz okiem złowrogiem,
Nie zapłaczesz nademną?
Idźże sobie, idź z Bogiem!...
Odświeżyłeś mi ranę, —
Ruszaj, ruszaj z tą ptakiem!
A ja wiecznie zostanę
Pówązkowskim żebrakiem,
Bo to korzyść jedyna,
Bo człek żyje wygodnie. —
W Imię Ojca i Syna!
O! szanowni przechodnie!...

Począł żebrać kulawy,
Plół, że ani spamiętasz,
Gdy ciągnęło z Warszawy
Kilka osób na cmentarz.

A ja, widząc grom Boski,
Biegłem do dom w cwał walny,
Spisać dramat dziadowski
Na pożytek moralny.

Feliks Szober.

Kronika tygodniowa.

W naszym języku dużo jest bardzo nazw poetycznych, i pod tym względem zazdrościć nikomu nie potrzebujemy; lud bowiem nasz nieraz cudnymi barwami obrazował to, co się obcym w zwykłych tylko przedstawiało kształtach.

Są jednak wyjątkowo pewne wyrażenia, które radnym przyswoić naszemu językowi, żeby zastąpiły u nas używane.

I tak, biała pajęczyna w obecnej porzelatająca po powietrzu i chwytająca się wszystkich i wszystkiego, otrzymała od Francuzów miano *przedziwa Najświętszej Panny*.

I doprawdy, cóż może nastęrczać więcej myśli poetycznych od tego bielutkiego przedziwa Matki Bożej, unoszącego się w powietrzu? Jest to symbol pracy nieustannéj, będącej obowiązkiem i przyjemnością.

U nas nazwa *babiego lata* ma w sobie coś ironicznego. Już to od najdawniejszych czasów lubiliśmy

dokuczać tym biędnym babom, które doprawdy nie nam złego nie zrobiły. Więc daliśmy im w udziale i lato o zwiedłych liściach, goniące ostatnim tchem zieloności, ostatnimi świeżości zasobami.

Zwykle ta pora późniéj u nas wypada, babie lato zaczyna się dopiero w październiku; ale w bieżącym roku wszystko przyspieszone, więc i letnia pora wcześniéj ostatnie tchnienie wydaje.

Z powodu właśnie tego przyspieszenia, ludzie wróżą wczesną i ostrą zimę i różne na to prognostyki przytaczają.

Więc przedewszystkiéj upały tegoroczne, które rzeczywiście do wysokiego doszły stopnia natężenia i spowodowały niezwyklej pośpiech w dojrzewaniu zboża, ogroduwizni i owoców.

Powtóre inne jeszcze oznaki, jak naprzykład pojawianie się wilków, które w sporych stadach koło wsi chodzą, szukając zera dla siebie.

Naprzykład pod Sochaczewem, w okolicy oddalonej od lasów, ukazało się niespodzianie stado dwunastu wilków, które nawet do chałup zaczęły zaglądać.

Podobno już urządzono na nie oblawę, o której rezultacie nie wiemy dotychczas.

Bądź co bądź, należałoby wcześniéj pomyśleć o ochronach przeciwko zimnu, bo często ono wcale niespodzianie napada nas nieprzygotowanych.

Ściągają téż już powoli więjcy emigranci, napojeni świeżém powietrzem i syci krasą łąk i pól.

Codziennie kolej żelazna przystawia nam podwójny kontyngens wagonów napełnionych podróżnikami, z mniej więcéj oddalonych stron zdążającymi.

Warszawianin wracający ze wsi dumny jest twarzą ogorzałą. Ekshibuje ją po ulicach, wychwalając działanie świeżego wiejskiego powietrza. A zarazem wyrzeka coraz więcéj na atmosferę warszawską, od której się odzwyczaił i która, prawdę mówiąc, nie do najczystszych należy.

A i w Warszawie letnie przyjemności mają się już ku schyłkowi. Kuryer Lubelski obwieszcza, że Rappo zamierza wkrótce do Lublina przenieść swoje penaty.

Wiadomo że w teatrze Rappo znajduje się urzędujący atleta, który za pomocą sążnistych afiszów wyzywa do walki wszystkich mężów silnych warszawskich, oznaczając nagrodę temu, coby go przemódz potrafił. Owóz znalazł się pewien mąż silny, który stawił się na zawołanie, ale widocznie musiał wzbudzić w atlecie jakieś powątpiewanie o sobie, nie mogąc bowiem na innéj drodze wywołać tak szumnich ogłoszonych zapasów, objawia sam w pismach publicznych gotowość swoje do walki. Czyliż nie będzie to tasama historia, jak z owym mułem u Rensa, którego pomimo wszystkich skoków i brykań dosiadł sprawny Warszawiak, zażywając upartego zwierzęcia lepiej od najwprawniejszych jeźdźców cyrkowych?

Widocznie niebezpieczna to rzecz w Warszawie popisywać się z tego rodzaju ogłoszeniami, i jeżeli walka przyjdzie do skutku, to bardzo być może iż oznaczona nagroda pozostanie w ręku tutejszego atlety, który, jak nas upewniano, z powołania jest stangretem i rzeczywiście za bardzo silnego słynie.

A i ogródki, przy dłuższych i chłodniejszych wieczorach, zaczynają mniejszą liczbę gości zwabiać; tylko Bilse, silny dawną i rzeczywiście dobrze zasłużoną sympatyą Warszawian, nieustraszony stoi na wyłomie.

Zato teatr coraz częściej kolorowemi stroi się afiszami. Próby *Zbójców* rozpoczęto już, jak słyszeliśmy, i w bieżącym może jeszcze miesiącu ujrzymy przedstawienie téj tragedii. Podwójna to będzie dla nas uroczystość; przedstawienie to bowiem, jak wiadomo, przeznaczone jest na benefis Królikowskiego.

Od jednego z prenumeratorów Tygodnika otrzymaliśmy list następujący:

Mości panie redaktorze!
Bądź pozdrowion w Imię Boże
I posłuchaj w bogów mowie
Interesu w téj osnowie.
Kwit pocztowy przekonywa,
Że miesiąc trzeci upływa,
Jak na poczcie, w mieście Rawie,

Czyniąc zadość dusznej strawie,
Zwłaszcza że i koszt niewielki,
Opłaciłem trzy rubelki
Na Tygodnik — téż ofertę
Półrubelka na kopertę.
Mimo tego w tym kwartale
Tygodnika twego wcale
Nie odbieram. Z téj więc racyi,
Po długiej deliberacji,
Umyśliłem w téj potrzebie
Odwołać się wprost do ciebie,
Choć nieznany osobiście,
I prosić cię w moim liście,
Żebyś prędko zebrał w pliki
I odesłał Tygodniki.
Mój szanowny redaktorze!
Dziwném ci się wyda może
I gotoweś kiwać głową,
Ze piszę wiązaną mową;
Wiedz więc o tém, redaktorze,
Ze pegazik mój nieboże
W wielkim dziś jest ambarasie;
Kiedy bujał na Parnasie,
Głośno mu krzyknęto: zasie!
Więc ja po rozum do głowy
I znalazłem wnet gotowy
Środek, bo mu na podniecie
Przepisałem ostrą djetę;
Zatém blisko od pół roku
Nie je pegaz mój obroku.
Dziś przyjrzałem mu się zblizka:
Nie poznałem biédaczyska,
Taki chudy i kulawy;
Trudno na nim dojść do sławy.
Lecz czy warto go téż chować,
Czyli lepij go darować,
Czy na targu sprzedać może,
Poradz, zacny redaktorze.

M. S.

Redakcja następującą odpowiedź poleciła nam zamieścić, jako swojemu organowi urzędowemu:

Już załatwione są pocztowe sprawy,
Które bies jakiś splątał oczywiście,
I nasz Tygodnik dochodzi do Rawy,
Według adresu jaki jest na liście.
Co do pegaza, jeżeli biédaczysko
Z wielkiego głodu wychudł w stajni waszjéj,
To wszakże na wsi nie braknie dlań paszy;
W najgorszym razie puścić go na rżysko,
Niechaj tam chodzi to zwierzę uparte,
Nie wybierając co pod ząb zabierze;
Bo dziś pegazy, można wyznać szczerze,
I torby sieczki nawet nie są warte;
Odkąd tych zrebców zmnożyły się setki,
Dawna im podróż powietrzna obrzydła,
Ogołoczone z piór, zwisnęły skrzydła
I z wyścigowców, — zrobiły się hetki.

Wiadomo że od pewnego czasu zaczęły wychodzić we Francji dzieła traktujące popularnie i zajmująco rozmaite kwestye naukowe.

W licznym szeregu tych wydań zjednało sobie zasłużony rozgłos dzieło Flammariona pod tytułem *Wielkość światów zamieszkiwanych*.

Książka ta przetłumaczona już została na polski język i wyszła z drukarni Józefa Ungra.

Nie wdając się w obszerny rozbiór téj ważnej publikacji, której dokładniejsze ocenienie wkrótce pomieszczone zostanie w piśmie naszym, wspomniemy tu tylko że kwestye tego rodzaju działają zwykle pociągająco na czytelników.

Umysł ludzki lubi się zapuszczać w przestrzenie, które zdają się niedostępnymi dla zwykłych badań, bo nawet w przypuszczeniach teoretycznych, mniej więcej na prawdopodobieństwie opartych, odczuwa on swoją potęgę.

A przytém owo liczne planetowe towarzystwo, które Flammarion rodowi ludzkiemu naznacza, jest raczej dla nas pociechą, aniżeli upokorzeniem. Człowiek mianujący się królem stworzenia na drobnym pyłku w przestrzeni zawieszonym, przypuszczając że istnieją doskonalsze od niego istoty, zyskuje przez

to samo bodźca ku ciągłemu postępowi, który dobrze zrozumiany, jest głównym a może jedynym celem następujących po sobie pokoleń.

W każdym razie chętnie przyjęcie przez publiczność tutejszą téj książki, może dać popęd do przyswojenia naszemu językowi innych dzieł tegoż samego rodzaju i zasili miejscowe piśmiennictwo, tak ubogie dotychczas w publikacje treści poważniejszej.

* * *

Otwarcie komunikacji z Saskim ogrodem, było dla ulicy Niecałej jakby wynalezieniem nowych kopalń kalifornijskich. Sklep za sklepem powstaje w tych szczęśliwych stronach; mieszkania parterowe, w których dawniej mieściły się całe kolonie osób do składu teatrów warszawskich należących, dzisiaj przemieniają się w wytworne składy towarów, cukiernie, restauracye.

Już to widocznie ulicy Niecałej jakiś szczęśliwy los świeci, bo tyle w tych czasach otworzono nowych komunikacji, i to w główniejszych punktach miasta, a nie śpieszono się nigdzie do tych przekształceń, które tutaj tak szybkim idą krokiem...

Historia ulicy Niecałej byłaby dość ciekawą, gdyby kto chciał spisać jéj kronikę.

Ten zaułek w samym środku miasta, a w bezpośredniem sąsiedztwie teatru położony, zamieszkały był, jak już powiedzieliśmy, w znacznej części przez artystów dramatycznych i oficjalistów teatru.

Pamiętny jest nam w szczególności jeden wieczór, w którym nieboszczka Z*.... będąca wówczas w całej pełni swojego powodzenia scenicznego, odprowadzoną została przez tłum bardzo młodej młodzieży do drzwi swojego mieszkania.

Chodziły wówczas wieści, zapewne urojone, że jacyś wrogowie talentu artystki, których oznaki niezadowolenia w sali teatralnej zagłuszone zostały hukiem oklasków, popróbują zaczepić ją na ulicy.

„Kiedym więc wyszła z bramy teatralnej, mówiła sama artystka, otoczyła mnie gwardya honorowa. Było ich z kilkudziesięciu. Szli w milczeniu, parami, trzymając się pod ręce i otaczając mnie ze wszystkich stron.

Żadnego z nich nie znałam i żaden do mnie słowa nie przemówił. Sama nie wiedziałam co z sobą począć.

Stanąwszy u bramy domu gdzie mieszkała, odwróciłam się raz jeszcze. Młodzież utworzyła półkole i wszyscy ukłonili się mi w milczeniu. Odkłoniłam się również i weszłam do bramy. Od tego czasu nie widziałam żadnego z tych panów i żadnego nazwiska nawet nie mogłabym wymienić“

Nie jesteśmy pewni czy do tego ostatniego punktu można zupełną przywiązywać wiarę, ale to jest rzeczą niezawodną, że pochód ów nocny odbył się tak jak go artystka opisała.

Na ulicy Niecałej mieszkali także Rychter, dawniejsza panna Moroz, państwo Turczynowiczowie, Komorowski, Zenopolski, panny Rivoli, kilka słynnych z piękności artystek baletu, a prawie wszystkie artystki opery odbyły tam stacją lokalową.

Na téj ulicy również kilkanaście lat temu wybuchła nagle sporadyczna cholera, ograniczywszy się tylko do kilku domów, a jedną z pierwszych jéj ofiar padł najstarszy syn Józefa Korzeniowskiego. Słynny autor czém prędzej przeprowadził się z tych miejsc dla siebie fatalnych i nabrał takiego wstrętu do téj ulicy, że nigdy już potem na nią nie zajrzał.

Ulica Niecała była jeszcze świadkiem świetności i upadku znanego dobrze Warszawianom Salwiana Jakubowskiego, który przyozdobił te strony dwoma pięknymi domami. Pomiedzy uboższą ludnością warszawską nazywano nawet całą tę stronę gdzie Jakubowski mieszkał, *Jakubowszczyzną*.

Znikła nazwa wraz z człowiekiem, który pewnego pięknego poranku siadłszy do wagonu kolei żelaznej z dobrze napechanym asygnatami pugilaresem w kieszeni, zaginął bez śladu.

Dzisiaj tak fizyognomia ulicy, jak i zaludnienie jéj zmieniło się zupełnie i spodziwać się należy że w krótkim czasie ulica Niecała przemieni się w rodzaj pasaży, z obu stron przystrojonego sklepami.

Przegląd polityki zagranicznej.

11 września.

Jeżeli powiedziano kiedyś słusznie, że dni następują po sobie, lecz nie są do siebie podobne, to zdania tego bynajmniej stosować nie można do obecnej epoki. W rzeczy samej, dni następują i dziś po sobie, lecz z nużącym umysł podobieństwem, sprowadzając jedynie pogłoski to wojenne, to pokojowe, a odejmując prasie politycznej wszelkie zaufanie i znaczenie. Z tém wszystkiém wyznać trzeba, że najmniej temu winna prasa, gdyż nie tworząc położenia, jest tylko wierném jego odbiciem. Nic więc dziwnego że i nasza kronika polityczna nie może pójść innym torem i ograniczać się musi na sumienném zaznaczeniu faktów mniej lub więcej pokojowych, mniej lub więcej prawdziwych. Bieżący tydzień, oprócz nowych obaw wojny, nie przyniósł nic nowego. Pomimo zapewnień Constitutionnela i innych pism półurzędowych, nikt nie wierzy aby rząd francuski poprzestać miał na pokojowém rozwiązaniu gordyjskiego węzła. Nawet Ind. Belge wierzy w wojnę, dowodząc że armia pcha rząd Napoleoński do wojny i że temu potężnemu parciu nic oprzeć się nie może. Gaz. Augsburska ze swj strony utrzymuje, że cesarz Napoleon wie iż Związek północny nie jest ostatnim wyrazem w Niemczech, lecz tylko wstępem do zupełnej ich jedności, a na tę właśnie jedność władca Francuzów nie może się zgodzić bez wynagrodzenia. Ze zaś Prusy dobrowolnie na żadne kompensaty terytorjalne zgodzić się nie chcą i nie mogą, więc, zdaniem Gaz. Augsb., starcie się jest konieczne. Oprócz tych i tym podobnych rozumowań, napotykaemy w dziennikach niemieckich mnóstwo drobnych pogłosek, któreby wielką miały doniosłość, gdyby rzeczywiście okazały się prawdziwymi. Do takich należy wieść o rozkazie marszałka Niela, aby prace dotyczące organizacyi gwardyi ruchomej ukończone zostały jaknajspieszniej, (przed końcem roku); pogłoski o nieustannych uzbrojeniach, dokonywanych nietylko w twierdzach, ale nawet i w portach i na okrętach francuzkich; wieści o ciągłych przesyłkach do pułków tajemniczych kartaczowników, o niszczeniu wszelkich ogrodzeń i domków obok twierdz i t. p. Dodać tu wszakże wypada, że obok tych wojowniczych pogłosek, niemały jest także zastęp i pokojowych protestów, zbijających wszystkie powyższe przypuszczenia. Cesarz Napoleon odbył przegląd wojsk w obozie w Châlons i przyjęty tam był wraz z synem z nadzwyczajnym zapalem.

Odroczenie posiedzeń parlamentu włoskiego dało powód do puszczania w kurs pogłosek o jego rozwiązaniu i rozpisanu nowych wyborów. Wieści te odwołane zostały, równie jak i te które zapowiadały zmianę gabinetu i wystąpienie kilku ministrów. Potwierdza się tylko zwolanie przez opozycję wielkiego meetingu do Neapolu, przyczém dla zapobieżenia możliwym wybrykom, rząd włoski przedsięwziął właściwe środki ostrożności. W polityce zagranicznej gabinetu włoskiego panuje zupełna cisza, z wyłączeniem wszakże układów z Francją o opróżnienie Rzymu. Pogłoski o potrójnym przymierzu Rosyi, Prus i Ameryki z jednej strony, oraz Francyi, Austrii i Włoch z drugiej, nie zasługują na wiarę.

Z Londynu donoszą, że fenieni znowu ruszać się zaczynają, dopuszczając się różnych szkodliwych wybryków. Królowa Wiktorya przybyć miała do Paryża w d. 9 b. m. wypocząć dzień jeden incognito i udać się do Cherbourga. Z Meksyku odebrano wiadomości, według których wojska Juareza pobite zostały przez powstańców meksykańskich pod Vera-Cruz.

Ze Wschodu nic ważnego. Telegram z Belgradu z d. 8 b. m., donosi to tylko, że według wiarogodnych sprawozdań, w Bulgaryi istnieje rząd narodowy, rezydujący obecnie w górach bałkańskich. Drugi telegram z Bukaresztu, z d. 9 września, zawiadamia że dekretem księcia Karola wojsko rumuńskie powiększone zostanie, przez utworzenie jednego pułku artyleryi i jednego batalionu inżynierii.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France)

EGZAMIN

odbył d. 27 sierpnia w Ochronie ks. Baudouina przy ulicy Piwniej w Warszawie, z oddziałem dzieci prowadzonych według metody Froebela, pedagoga niemieckiego.

Metoda Froebela, oparta na dokładnym zrozumieniu psychologii dziecięcej, stara się środkami właściwymi rozwój władz umysłowych i równomiernie rozwój ciała jego zapewnić. Froebel z cudowną przenikliwością podpatrzył drogę, jakiej natura używa w tym celu i to spostrzeżenie dało mu klucz do rozwiązania wielu trudności.

Główne zasady metody Froebela dadzą się określić w sposób następujący:

1. Umysł ludzki rozwija się za pośrednictwem zmysłów; dzieci przeważnie żyją zmysłowo. Chcąc więc rozwijać ich władze umysłowe, trzeba im najprzód podawać wrażenia drogą zmysłów, to jest za pośrednictwem wzroku, dotyku i słuchu. Z tego wynika, iż z dziećmi rozpocząć należy naukę od przedmiotów materialnych, pod zmysły podpadających i poprzeć ją bezpośrednio doświadczeniem, to jest pokazywaniem przedmiotów, albo ich wyobrażeń.

2. Dzieci, skutkiem żywotności swych zmysłów, są w ciągłym ruchu, mają nieustanne pragnienie zajęcia się czémkolwiek. Z właściwości tej należy korzystać i odpowiadając żądaniu dziecięcej, starać się o ciągłe zajmowanie go przedmiotami budzącymi uwagę, ćwiczącymi pojęcie i pamięć. Praca ta dla dzieci stosowna, łączy się z zabawą, urozmaicaną odpowiednio do celu, a zawsze na stałych zasadach.

3. Umysł dziecka, zauważywszy przedmioty i spamiętawszy je, zaczyna kombinować wrażenia i tworzyć z nich nowe. W dziecku przeto budzi się *twórczość i samodzielność*, które rozwinąć i umocnić, najświętszym jest obowiązkiem dobrej metody wychowania. System Froebela, przez podanie stosownych

i stopniowych materyałów, otwiera pole dla twórczości dziecka i umiejętnie nią kieruje.

4. Wrażenia zmysłów budzą nie tylko pojęcia, ale i uczucia. Doskonałość i żywość uczucia uzacnia, ulepsza nas. Trzeba więc rozwijać uczucie fantazyą, dać pojęcie o symetrii i pięknie.

5. Rozwinięte pojęcie i uczucie uszlachetnione, jest podstawą moralnego charakteru człowieka, pobudką wzniesienia się ku Bogu. Osiąga się to przez zaprowadzenie ogólnej harmonii, przez nauczanie mo-

blowskich jest sześcian, podzielony na sześcianki lub cegiełki w wielorakich kierunkach. Z sześcianków tych lub cegiełek dzieci układają rozmaite przedmioty, np. łóżko, piec, dom i t. p. Przy tej pracy nabywają pojęcia o kształtach, o własnościach przedmiotów, ćwiczą uwagę swoje i pamięć. Każdy przedmiot ułożony z sześcianków lub cegiełek, daje sposobność udzielania dziecku niektórych wiadomości jakie się do przedmiotu tego odnoszą, co czyni naukę miłą, zajmującą i nie suchą. Tylko początkowo

dzieci naśladowują pewne szmata i tablice; później z danych materyałów, jak np. cegiełki, patyczki, groch, dzieci same budują co chcą, a więc *twórczo*, co jest najszlachetniejszą czynnością ducha ludzkiego. Dalej idzie rysowanie na tabliczkach kratkowanych i kajetach, dzieciinne malarstwo i modelowanie z gliny. Do rekodzieł dziecińczych należą: tkactwo papierowe, ze słomy lub krajkami, wyginanie papieru, plectenie wstążek papierowych, wycinanie z papieru i bibułki angielskiej, wykalanie włóczką na papierze, roboty kobiece, jak pończocha, dzierganie, obrębianie i t. d. Wszystkie te prace urozmaicane są opowiadaniem, piosenkami, bajeczkami, oraz grammi ruchomymi i ćwiczeniami gimnastycznymi, przy towarzyszeniu śpiewu. Cała ta nauka odbywa się w ogrodzie, wśród ożywionej natury, dostarczającej przedmiotu do rozmów. Dzieci na wyznaczonych kwaterkach same uprawiają rośliny, kwiatki, podlewają je i pielęgnują.

Specjaliści w Niemczech oddają wielkie pochwały pojętności, uwadze i obyczajom uczniów wychowywanych

w zakładach Froebelskich. Mianowicie jedna z najtrudniejszych nauk szkolnych, matematyka, jest dla nich łatwą, a znajomość brył znajduje obszerne zastosowanie w rzemiosłach, które są zwykłym przeznaczeniem chłopców uczęszczających do ochron.

Zasługa zastosowania u nas metody Froebelskiej należy się p. Adamowi Wiślickiemu, któremu p. Jan Gautier nastęrczył możność wprowadzenia jej do ochrony pod opieką ostatniego zostającej. Z daru pani hrabiny Roztworowskiej zakupiony został wkrótce



Egzamin w ochronie ks. Baudouina, podług metody Froebelskiej. (Rysował z natury Ksawery Pillati).

ralności *czynem* i wykład pierwszych zasad religijnych.

6. Należy dążyć do równowagi między duchem a ciałem; wychowanie więc musi być naturalne, ożywione ruchem i na świeżem powietrzu.

Odpowiednio tym zasadom, Froebel zastosował podane przez siebie środki i urządził wychowawcze zakłady, zwane *ogródkami Froebelskimi*. Nauka w nich początkowo odbywa się na bryłach składających tak zwane sześć darów Froebela. Zasadą darów Froe-

modelowy egzemplarz przyborów Froeblovskich z Berlina, na wzór którego zaopatrzone ochronę w cegielki i sześcianki. Mimo to jednak pierwsze kroki nie były wcale zachęcające.

Parę tygodni upłynęło, zanim zdołano zaopatrzyć się w tablice, a dopiero względem prof. Cetnarowicza i pracowitości uczniów gimnazjum 1-go zawdzięczać należy posiadanie odpowiednich rysunków. Zwykle

członkowie nie szczędzili rad i zachęty. Hr. Ostrowski, Preys Aleksander, szambelan Lachnicki, generał Witkowski prezydent miasta, pułkownik Fiszer, Kazimir Rogiński wytrawny a zasłużony pedagog, Kajetan Dąbrowski, Julian Heppen i wielu innych, zwiędzaniem ochrony i wglądaniem w szczegóły metody, utwierdzali p. Wiślickiego w powziętym zamiarze.

Najważniejsza też z istniejących trudności, niedo-

dwie siostry pp. Katz i p. Nowicka. Z przewodniczących zakładowi temu ochmistrzyń, szczerą chęć dla nowej metody okazały przełożona dzisiejsza tęt sali, p. Szreder z córką. Z mężczyzn pomoc nieśli p. Jakub Szenwic, p. Wł. Bełza poezijkami do nauki dzieci zastosowaniami i pan Kruziński, przyuczający dzieci do śpiewu przy towarzyszeniu melodykonu. Z postepem bowiem czasu grono dobroczynnych

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek F. Kostrzewskiego.

Pierwsza próba cynkorytu, podług sposobu Karola Beyera.



O 5ej rano na ulicy.

- Al! kochanego konsyliarza! Cóż tak rano?... dokąd?...
- Do chorego. Ale panowie zjad o tej porze?
- Byliśmy u Józia.... na kolacyjce... ale jak spostrzegliśmy że się zanosi na pijatykę, to wynieśliśmy się po angielsku, bez pożegnania...

w ochronach dzieci siedzą bez ławek przednich, czyli bez stołów. Metoda Froebła wymaga takich stołów. Znowu więc kilka upłynęło tygodni, zanim i ta przeszkoda usunięta została. W pokonywaniu tych początkowych trudności nie małą pomocą było moralne poparcie warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, które pojęło korzyści jakie wyniknąć mogą dla społeczności naszej, skoro metoda Froeblovska przejdzie kilkoletnią próbę w jednej z ochron. Pojedynczy też

statek uzdolnionych w metodzie przewodniczek, szczęśliwie usunięta została powstaniem przy ochronie małego grona niewieściego, z wytrwałością zajmującego się metodą Froeblovską. Przedewszystkiem wymienić tu wypada nazwisko panny Wandy Skłodowskiej, której takt, zdolność pedagogiczna i wykształcenie stały się przykładem i zachętą dla innych. Niebawem pośpieszyły z pomocą panny Sulatycka, Bronisława Blum, Kamilla Chmielewska

osób nietylko pracą, ale i darami przychodziło dziełu temu w pomoc. Prezydent Witkowski ofiarował wiele przedmiotów do wykładu rysunków. Opiekun p. Jan Gautier udzielił melodykonu do śpiewu, a p. Bronisława Blum podarowała szafę na skromny zbiór Froeblovski, z bogactwem go prawie codziennie jakimś nowym a pożytecznym szczegółem.

Z nazwą ogródka Froeblovskiego, łączy się myśl posiadania ogrodu, lubo ten nie jest koniecznością

metody, tylko jej dopełnieniem. Chcąc jednak i w tym kierunku coś zrobić, skorzystano z maleńkiego dziedzińca pełnego błota i śmieci i zmieniono go w ogródek, który z rozwinięciem się drzew lepiej odpowiadać będzie celowi.

Wspomnieć tu wypada o jednym jeszcze fakcie nader ważnym, to jest o pierwszej przy podobnym zakładzie wzniesionej łazience dla ubogich dzieci. Czystość nie tylko rąk i twarzy, ale całego ciała jest głównym warunkiem zdrowia dzieci i silnie wpływa na ich moralność. Zaszczepienie zamyłowania czystości i porządku około siebie winno być przeprowadzane od lat najmłodszych. Nakładem więc pani hr. Roztworowskiej odnowiono salkę i zbudowano piec z kotłem. Następnie redakcja Kurjera Codziennego, podniosłszy w szpaltach swoich głos do miłosierdzia ogółu, dostarczyła z daru p. Siemięńskiego wannę metalową i z daru ks. Czetwertyńskiego wannę drewnianą. Pani Klotylda Krosnowska ofiarowała przyrząd Prysncowski. Umywalnia urządzona jest w duchu metody Froebrowskiej, to jest samo dziecko wodę sobie z kadzi toczy, samo się myje, obciera i wodę brudną wylewa, — rozumie się pod nadzorem przełożonych.

Egzamin dzieci odbył się d. 27 sierpnia, w obecności licznej zgromadzenia osób interesujących się tą nową metodą. Rozpoczął go hymn odśpiewany unisono, przy towarzyszeniu melodykonu. Dalejszy zabawy z piłką i walcem, — zdania moralne w śpiewie, — arytmetyka na sześciankach, — układanie różnych przedmiotów i rozmowy o nich, — gimnastyka w ławkach ze śpiewem, — rękodzieła dziecięce i czytanie.

Wszystko to dzieci wykonywały dość zreźnie, a nadewszystko gwarnie i radośnie, z zajęciem świadczącym, iż metoda Froebrowska rzeczywiście w niewinnych ich umysłach sprawia skutek zamierzony przez znakomitego jej wynalazcę i zacnych ludzi którzy u nas ją przyswoili.

Przegląd piśmienniczy.

Prawa o procentach, przez Józefa Kirszrota (odbitka z *Ekonomisty*). — *O taksie dóbr ziemskich*, przez Ludwika Gorskiego (odbitka z *Biblioteki Warszawskiej*). — *Cudowna potęga rydła i pługa*, przez Wojciecha Jastrzębowski (odbitka z *Zorzy*). — *Mysł usunięcia przyczyn wygórowanej ceny artykułów żywności*, przez Kazimierza Karpowicza. — *Wiedza*. — *Obecne i dawniejsze stanowisko rolnictwa* (z niemieckiego), przez W. Funkego.

Wydawnictwa nasze książkowe do coraz bardziej mikroskopijnych rozmiarów dochodzą. Dawniej wychodziły książki kilkotomowe, później tomowe, następnie broszury sporędy objętości, a dziś wychodzą same niemal tylko już nie broszury, ale broszurki, po kilka arkuszy druku zawierające. Co więcej, broszury te bardzo rzadko bywają oddzielnie drukowane, a najczęściej są to odbitki z pism periodycznych. I tak: z pięciu broszur oryginalnie napisanych jakie mamy przed sobą, cztery są odbitkami z pomienionych pism, a jedna tylko, i to najmniejsza, nie miała zaszczytu oglądać światła dziennego w szpaltach którego czasopisma.

Z drugiej atoli strony zaznaczyć wypada, że do małej liczby i do małych rozmiarów zredukowane wydawnictwo książkowe, a raczej broszurowe, zawiera też bardzo mało plew, mało gawęd o wszystkim i o niczym, które tylko na makulaturę przydadzą się snadnie. W dziewięciu broszurach zajmujących się gospodarstwem społecznym i innymi rzeczami w związku z ekonomiką pozostającymi, znaleźliśmy w każdej jakąś myśl godną przynajmniej uwagi, jakiegoś zadanie mocno nas obchodzące, jakąś kwestyą którą wypada nam się zająć, zbadać ją i zastosować, jeśli można i jeśli wola po temu.

Więc chociaż wielokrotnie utwory te piśmiennicze pod względem formy, pod względem obrobienia piśmarnego i t. p. dużo pozostawiają do życzenia, znajdują atoli osłonę od ciosów surowej krytyki w tym, że znać iż piszącym kierowała jakaś myśl, jakaś chęć zacna, jakaś miłość dobra krajowego, bardzo dużo potrzebującego myśli troskliwej, chęci szczerzej i miłości czynnej.

Przejrzyjmy teraz z kolei ów zbiorek broszur oryginalnych i tłumaczonych, jakie w przeciągu osta-

tniego kwartału jeżeli nie zzbogaciły, to zawsze pomnożyły nasze piśmiennictwo.

Pierwszeństwo należy się tutaj pracy p. Józefa Kirszrota p. n. *Prawa o procentach*, a pierwszeństwo to należy się z kilku względów. Raz że forma obrobienia i jasność w tłumaczeniu tak zawiłych przedmiotów jakimi są rozmaite prawa i przepisy o procentach, nic do życzenia nie pozostawiają, a nawet dla swęj zwięzłości i niesuchego a zaciekawiającego przedstawienia rzeczy na rzetelne pochwały zasługują. Powtóre że praca ta nie traktuje przedmiotu powierzchownie, po łebkach, jak to często i magistrum się przytrafia, ale przedstawia rzecz gruntownie, pomimo swęj zwięzłości wszechstronnie, i co najważniejsza, że spotkać się w niej można z poglądami i zdaniemiami własnymi piszącego, co w naszym czasie strojenia się w pawie piórka jest dość rzadkiem. Potrzebie nakoniec, że sam przedmiot o procentach i lichwie jest wielce interesującym i pożytecznym dla nas, którzy w niedługim czasie znów spotkamy się ze zniesieniem urzędowej stopy procentowej.

Literatura zagraniczna posiada całe biblioteki dzieł napisanych w obronie procentów i przeciw procentom, w obronie stopy prawnej i za swobodą w oznaczaniu procentów. Może żadna kwestya społeczna nie wywołała tylu zakazów i tyle jawnego lekceważenia tych zakazów. W najodleglejszej starożytności znajdujemy dowody, że prześladowano procenta; prawodawstwo Mojżeszowe, Arystoteles i Rzymianie zarówno je potępiali. Ale najsilniej przeciw procentom powstało prawo kanoniczne; posypały się bulle, zakazy i przekleństwa nawet; karano na ziemi i grożono wiecznym potępieniem. Pomimo atoli tych wszystkich zakazów, ograniczeń i więzów, ludzie płacili procenta od pieniędzy, gdy tych pieniędzy potrzebowano.

Rzecz dziwna, do jakiego zaślepienia doprowadza często mylnie pojętych słów kilka, lub błędne pojmowanie istoty rzeczy. Wolno było brać wynagrodzenie za najem konia, nikt się nie sprzeciwiał wynagrodzeniu za najem sprzętów — a niewolno było wynagradzać za najem pieniędzy. Zakazy te narobiły wiele złego, wytworzyły lichwiarzy, zmusiły do łamania prawa, do oszukiwania władzy, do pokątnych czynności, jednym słowem demoralizowały społeczność, pomijając już szkody w materyalnym rozwoju. I w końcu, pomimo wszystkich zakazów i prześladowań, procenta brały górę, zmuszały powoli do uznania ich prawnymi, a chociaż ujęto je w karby pewnego maximum, przecież i to maximum zaczyna już coraz bardziej znikać, zostawiając każdemu oznaczenie stopy procentowej wedle ugody. Szwajcarya, Anglia i Szwecya rozpoczęły ten nowy zwrot wyzwolenia, a dziś już prawie całe Niemcy, Belgia, Włochy poszły za ich śladem, Austria zaś podąży ile jej sił starczy.

Praca pana Kirszrota rozpada się na trzy działy. W pierwszym przechodzi autor historią pojęć i praw o procencie u Hebrajczyków, Greków i Rzymian w pierwszych wiekach chrześcijaństwa; dalej mówi o zasadach prawa kanonicznego i o rozmaitych sposobach obchodzenia surowych przepisów owego prawa i innych z niego wypływających — przyczem jest dość obszerny ustęp o sposobach obchodzenia prawa u nas za czasów Jagiellońskich i późniejszych, skróślony podług źródeł jakie dają Bandtkie, Czacki, Dutkiewicz, Szmiglecki i inni. W końcu autor określa wpływ reformacji na wyrobienie pojęcia o lichwie, przechodzi do znaczenia prawnej stopy procentowej i kończy ten dział wykazaniem państw, które przyjęły wolność procentu, pomimo nurtowań nowej szkoły socyalnej, z Proudhonem na czele, domagającej się aby pożyczki udzielane były bezprocentowo. Rzecz godna uwagi, że gdy dawniej kanony piorunowały na procenta, dziś Kościół nie występuje już wcale przeciw nim, a socjaliści zato silnie na nie nastają.

Dział drugi, bardzo pracowicie skrślony, obejmuje rozbiór praw u nas obowiązujących w przedmiocie procentu, z przeglądem obszernych studyów francuzkich autorów prawnych nad kodeksem Napoleona. Dział trzeci rozbiiera prawa o procentach ze stanowiska ekonomicznego. Dział ten jest najciekawszy. Dowodzi w nim autor jasno, że pieniądź jest taką samą własnością jak każda inna rzecz i że jeżeli wolno każdą inną własność sprzedawać, darować,

najmować, tak samo i pieniądź powinno być wolno sprzedawać, dać, wynajmować; że procent jest niczym więcej, jak tylko wynagrodzeniem za usługę i pomoc wyświadczone innym, zapłatą za ofiarę jaką ponosi się przy zaoszczędzaniu pieniędzy. Dalej że stopa procentowa nie może być wysokości stale oznaczonej, gdyż zależy od stopnia bezpieczeństwa odbioru pieniędzy jakie daje wypożyczający; że zawisła ona, tak samo jak cena zboża, drzewa i innych przedmiotów, od ofiarowania kapitałów na pożyczki i od poszukiwania ich, to znaczy że im więcej jest pieniędzy do wypożyczenia drugim, tém pieniądź będzie tańszy, a stopa procentowa mniejsza i przeciwnie, im więcej będzie chcących pożyczyc od kogoś pieniędzy, tém pieniądź będzie droższy, czyli stopa procentowa większa. Dalej autor dowodzi, że oznaczona stopa procentowa wpływa istotnie na zwiększenie procentu; gdyż jeżeli wypożyczający komuś nie może dać swych pieniędzy podług procentu prawnego, to musi uciekać się do podstępów i wówczas podwyższa się procent: 1) jako wynagrodzenie za karę stanowioną przez prawo zakazujące wyższych procentów i za hańbę jaką obrzuca opinia publiczna tak zwanych procentowiczów i lichwiarzy — i 2) za koszta poniesione przy obchodzeniu prawa, za pomocą użycia rozmaitych form symulacyjnych i podstawiania osób trzecich. Następnie autor przechodzi jeszcze rozmaite procenta, pożyczki rządowe i skup bankowy i konkluduje: że jedynym regulatorem w umowie o procent, jest wola stron, i że na tém polu, swoboda do najlepszych prowadzi rezultatów; że do zniżenia stopy procentowej, przez której wysokość obecnie kraj nasz mocno cierpi, dążyć należy nie zakazami i ograniczeniami, ale za pomocą oświaty i dobrze uorganizowanego życia ekonomicznego; nakoniec (co jest ważne i co należy do atrybucyj prawa i sprawiedliwości, bez ograniczenia wolności procentowej), że prawo na takie tylko przypadki stopę ustanawiać winno, w których procent należy się nie z umowy, ale z samego prawa.

Drugą broszurą w tonie naukowym i przytém dobrze napisaną, jest rzecz: *O metodach taksy dóbr ziemskich*, przez p. Gorskiego. Sam przedmiot atoli trochę zastary, a więcej jeszcze zatrudny do obrobienia i poprawienia, i dlatego zmuszeni jesteśmy uważać pracę pana G. jako wskazówkę tylko w czem pobladzono przy taksie dóbr ziemskich w Prusiech i jakie są istotne zasady takiej taksacji.

(Dokończenie nastąpi.)

MAZUREK SZESNASTOLETNI.

On mi zagrał piosnkę rzewną,
Jak własne sny moje.
Jam ją znała, byłam pewną:
To mych marzeń zdroje.

Moje własne to marzenia,
Podstuchał mię zdradnie,
W cudne tony je przemienia
I gra je tak ładnie.

I ja słucham zaśluchana,
To z méj duszy nuta,
Śniłam taką w wieczór, zrana,
Z serca mego snuta.

Powiedz, grajku, czy twa dusza
Tak pokrewnie roi,
Że nas jedna myśl porusza
W téj melodii twojej?

Powiedz, grajku, czy pojmuję
Mazureczka dźwięki?
Mówisz: kocham! ja to czuję:
To słowa piosenki!

Leez czy serce i pieśń tkliwa
W jeden takt uderzy?...
Graj tak ciągle, jam szczęśliwa,
Serce — tonom wierzy.

Marya O....

ZROZPACZONA.

Słowa Teofila Lenartowicza, muzyka Bohdana Borkowskiego.

Allegro

f *cres.* *f*

p Andante

1. Chodzi dziewczę po o-dród-ku Wy-sa-dzo-na dro-ga, Lecz w o-gród-ku peł-no smut-ku
7. Na-u-czy-ła ma-tka sta-ra Że na-le-ży wie-rzyć, Do-bra wia-ra słod-ka wia-ra

Bo nie-ma ni-ko-go. Lecz w o-gród-ku peł-no smut-ku Bo nie-ma ni-ko-go. 2. Cze-mu świe-cisz
A-le le-piej nie żyć. Do-bra wia-ra słod-ka wia-ra A-le le-piej nie żyć. 8. Skry-ty w krza-ku

sło-n-ce Bo-że Cze-mu pach-niesz krza-ku? Cze-mu śpie-wasz piosn-ki ho-że U-przy-krzo-ny pta-ku?
sło-wik ma-ly Tes-kni nad ru-i-ną Lecz gdzie dom za-pa-da ca-ly, Tam już lzy nie ply-na.

mf *pp* *piu animato*

Cze-mu śpie-wasz piosn-ki ho-że U-przy-krzo-ny pta-ku? 3. Spoj-rzę w je-dną w dru-gą stro-nę Ser-cé się za-
Lecz gdzie dom za-pa-da ca-ly Tam już lzy nie ply-na. 5. W tań-cu bu-kiet mi po-da-no Won-nych kwia-tów
9. Zal po-nio-se do mo-gi-ly Ser-ca A-nioł

mf *pp* *f* *piu animato*

szo-cha Grząd-ki mo-je spu-sto-szo-ne A ser-ce wciąż ko-cha Grząd-ki mo-je spu-sto-szo-ne
ty-le A ja py-tam gdzie je-rwa-no Czy nie na mo-gi-le? A ja py-tam gdzie je-rwa-no
strze-że Na-cier-pie-nia dość mam si-ly A w szczę-ście nie wie-rzę N-cier-pie-nia dość mam si-ly

cresc. *ff ten.*

pp e stretto *f a tempo* *ritard* *a tempo*

A ser-ce wciąż ko-cha 4. Wczo-ra tań-czyk mi ka-za-li A ja my-szę so-bie Ja tań-cu-je
Czy nie na mo-gi-le? 6. Do pól-no-cy skocz-ne ta-ny Skroń w ró-za-nym wian-ku Do pól-no-cy
A w szczę-ście nie wie-rzę. 10. Pa-nu Bo-gu po-wiem śmie-le Nie zbla-ga-ny Bo-że I jak mo-ich

pp e stretto *f a tempo* *ritard* *a tempo*

w ja - snój sa - li A wie - trzyk na gro - bie Ja tań - cu - je w ja - snój sa - li A wie - trzyk na gro - bie.
 gwar pi - ja - ny A płacz do po - ran - ku Do pól - no - cy gwar pi - ja - ny A płacz do po - ran - ku.
 bra - ci wie - lu W gro - bie się po - lo - żę I jak mo - ich bra - ci wie - lu W gro - by się po - lo - żę.

2da
 ran - ku. II. Za - bia - da - la pier - sią ca - łą Bo - leść któż prze - mo - że A co chwi - la w u - stach brzmiała
 Da capo dal Segno al fine senza repetitione.

Mój Bo - że mój Bo - że A co chwi - la w u - stach brzmia - ła mój Bo - że mój Bo - że 12. Niech - że czło - wiek
 nie po - cie - sza Gdy tak ser - ce bia - da Niech - że ci - szy nikt nie mie - sza Gdy człek z Bo - giem ga - da.

Niech - że ci - szy nikt nie mie - sza Gdy człek z Bo - ga - da.

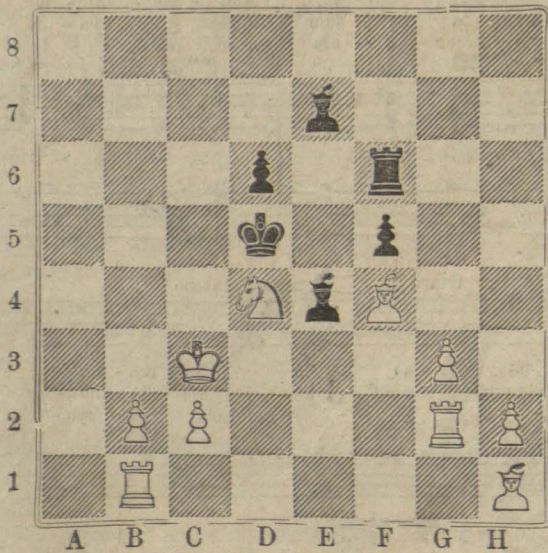
Fine.

Szachy.

ZADANIE XXIX.

Białe zaczynają i dają mata za 5-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

Goście bywali często, lecz prawie wyłącznie bezdzietne mężatki, lub stare panny i wdowy, których jedynym zatrudnieniem było plotkarstwo. Rozumię się że brały i Ewę pod ścisły egzamin, wywiedziawszy się wszystkiego o matce, siostrze, bracie, ojcu nieboszczyku, a wypytywały się jeszcze o dziadka, w braku innej materyi. W ogóle interesowały się

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 28.

Białe.

Czarne.

- 1) G5 - G2 1) E6 - E5 lub F5.
- 2) D5 - C3 2) Jakkolwiek.
- 3) G2 - E4 D5 lub G4 † i mat.
- 1) E6 - D7.
- 2) D5 - B6 † 2) D7 - E8, D8 lub E6
- 3) G2 - G8, A8 lub D5 † i mat.
- 1) E6 - F7.
- 2) D5 - C7 2) Jakkolwiek.
- 3) G2 - G7 † i mat.

nią mocno, sądząc z piękności, ukształcenia i nie stosownego stanowiska, że wkrótce nastąpi (Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 36. Europa to część ziemi celująca w oświacie.

(Dodatek.)

sposobność do plotek. Już w myśli robiły z niej heroinę jakiej rozgłośnej awantury.

W poniedziałek po koncertowej niedzieli, Izorka naprawdę zachorowała; miała oddech trudny, sapkę i puls zbyt gwałtowny, tak przynajmniej utrzymywała hrabina. Sprowadzony weterynarz stwierdził stan anormalny, zapisał receptę, wziął rubla i poszedł. Hrabina ze złością spoglądała na Ewę, jako prawdopodobną przyczynę tego smutnego wypadku.

W tej chwili lokaj zameldował pana Zygmunta Orzelskiego.

Wizyta Zygmunta mocno uradowała hrabinę. Wiedziała że jest już oddawna w Warszawie, że był długo za granicą, że ogromnie rozumny, piękny, dowcipny, słowem *comme il faut*; bolało ją więc zaniedbanie w jakim się widziała.

— Jak się masz, kuzynku? Tak dawno cię nie widziałam. Przecież sobie o mnie przypominałeś. A jakżeś wyrósł, jaki ładny chłopiec zrobił się z ciebie!

— Dziękuję wujence za łaskawe pochwały. Tak byłem zajęty różnymi interesami ojca i własnymi, że nie mogłem do tego czasu złożyć mego uszanowania.

— Prózne wymówki. Wiem, wiem, dochodzą mnie tu wieści. Bawisz się, bałamucisz pannę. Ale dobrze robisz, na to młodość; tylko powinieś choć czasem starą ciotkę odwiedzić.

Rozmowa toczyła się w takim banalnym guście, przeplatana komplementami, wiadomościami o rodzicach, krewnych i całej okolicy.

Ewa siedziała na uboczu przy robocie; gdy wyszła na chwilę, Zygmunt nie omieszkał rzucić zapytania:

— Co to za panią u wujenki?

— Już, już! Jaki jesteś do panią ciekawy, mój kuzynku!

I opowiedziała pokrótce historią Ewy, barwiąc przyjęcie jej w swój dom intencjami dobroczynnymi.

— Biędne stworzenie, nie miało się gdzie podzić; żal mi było zostawić ją tak bez pomocy, może na pastwę zepsuciu, rozpuszcie. Wzięłam do siebie, chociaż mi będzie ciężarem, bo to delikatne, grymasne, jeszcze pańskie fanaberye w głowie, nie czuje że jest na łasce u ludzi.

— A wydaje się miła panią, rzekł Zygmunt.

— Wierzę bardzo, wam miła; aby tylko figlarne oczki były i świeży buziak, to i miła.

Nie zupełnie wierzył Zygmunt w filantropią swojej wujenki.

Żal mu się zrobiło tej pełnej życia dziewczyny, tak młodo wprężonej w jarzmo obowiązku, zdeptanej przez taką dręczycielkę, jak ograniczona hrabina.

— Wujenka jest aniołem dobroci; postępek jej względem panny Strzemińskiej pokazuje i dobre serce i umiejętność udzielania jałmużny. To nie sztuka rzucić pieniędzy nieszczęśliwemu; ale dać moralną opiekę, podjąć samą kłopot prowadzenia młodej osoby, to prawdziwa dobroczynność.

Wyrazy te dopięły zamierzonego celu. Hrabina rosła z radości, że się tak dobrze przedstawiła kuzynkowi słynnemu z rozumu.

W tej chwili miała się w istocie sama za niezmiernie dobroczynną, aż do poświęcenia.

Ewa wróciła do salonu. Zygmunt, ulegając pokusie zajrzenia w grunt duszy tego pięknego zjawiska, przybliżył się do niej.

— Hrabina, rzekł, opowiadała mi o nieszczęściu jakie dotknęło dom pani. Dzieckiem będąc słyszałem o ojcu pani, nawet widziałem go kilka razy. Jestem Orzelski.

Ujmujące wyrazy młodzieńca i pośrednie zarekomendowanie się, w wynagrodzeniu za niedelikatność hrabiny, ożywiły smutną twarzyczkę Ewy. Spojrzała nań z wdzięcznością i rzekła:

— Dziękuję panu za wspomnienie o moim ojcu; kochałam go z całej duszy.

— Strata jego zbyt świeża dla pani, a zwiększa się jeszcze przygodami losu, jakie panią spółcześnie spotkały. Przepraszam że dotykam tego przedmiotu, ale powinnaś pani za godło obrać sobie wytrwałość i siłę ducha, wyższą nad chwilowe trudności.

Może bezwiednie, przypadkowo, temi słowami zachęcał Zygmunt Ewę do niezrażania się dziwac-

twami hrabiny i pozostania na terazniejszym stanowisku.

— Mam matkę i rodzeństwo, odpowiedziała Ewa, i to mi sił dodaje.

Spokojność, godność, nieprzymuszoność z jaką mówiła Ewa, wywarły silne wrażenie na Zygmuncie. Skłonił się z poszanowaniem, pożegnał wujenkę i wyszedł, odpowiadając na jej zaproszenia obietnicą częstszych odwiedzin.

VIII.

Była niedziela. W południowej godzinie panna Róża siedziała w oknie saloniku, spoglądając z roztargnieniem na snujących się po ulicy przechodniów. Pan Tomasz wyjątkowo nie dotrzymywał jej towarzysztwa, posłany z jakimiś ważnymi interesami pani radczyni, pokrzepiającej się małą drzemką po obiedniu. Radzca poszedł odbywać przechadzkę po Saskim ogrodzie, rachując w myśli, ile to mu sił przybywa za każdym przemierzeniem krokami bocznej alei.

Ciężkie kłopoty dręczyły Różę: przysłuchajmy się biegowi jej myśli.

— Dopiero 17 kwietnia, do pierwszego daleko, a tymczasem wczoraj wydano już ostatni grosz w domu. Koniecznie nam dziś wypada przyjąć gości, a lepiej przyjąć wszystkich za jednym zachodem, bo taniiej nam wypadnie i lepsza będzie zabawa. U państwa naczelnikostwa tak się wesoło bawiliśmy w przewodnią niedzielę; u państwa inspektorstwa tańczyliśmy do godziny drugiej; u państwa sędziostwa także było suto i tłumno. Wypada nam koniecznie przyjąć i dobrze przyjąć, a tu święcone pochłono wszystko. Ach, otóż Józef idzie, pewno do nas. Wchodzi tu. Musiał sobie już uprzykrzyć héblowanie. Oj, trzeba go wyśmiać potężnie.

— A, jakiś niełaskaw, kuzynku, rzekła do wchodzącego; ledwie raczysz sobie o nas przypomnieć.

— Przyznaję się do winy, ale mimowolnej. Tak jestem teraz zajęty, że trudno mi znaleźć chwilę swobodną.

Róża czekała tylko sposobności atakowania Józefa za jego ekscentryczne obranie zawodu; spodziewała się jednak że go spotka mniej pewnym siebie, unikającym roztrząsania postępków, który trudno mu było usprawiedliwić, według jej zdania. Tém usilniej zaś pragnęła stoczyć tę walkę, że od pierwszego pojawienia się kuzynka, czuła dla niego rzetelną sympatyę. Kładła ją na karb kuzynostwa i kłopotliwego położenia młodzieńca, rzeczywiście zaś mężka wola i niezależny charakter, przymioty których dotąd nie widziała, zrobiły wrażenie na jej umyśle.

— Zajęty? czémże to, jeśli można wiedzieć? zapytała.

— Sądziłem że macie już wiadomość od Tomasza. Uczę się ciesielstwa; ledwie w święto mam teraz nieco wypoczynku, rzekł swobodnie Józef.

— I na cóż to ta nauka? Zdaje mi się że kuzynkowi teraz nie pora na zabawki, fantazyje... rzekła Róża, rumieniąc się nieco za zuchwałę pytanie.

— Oho! z mojej pięknej kuzynki robi się zgryźliwy wujaszek, rzekł z uśmiechem Józef. Nie bierz na siebie tej roli, ze swoją własną lepiej ci do twarzy.

— Wujaszek swoją koleją się rozprawi i pewno z nim będzie ciężka sprawa.

— Więc bardzo na mnie zagniewany? i moja kuzynka także? wesoło zapytał Józef, siadając naprzeciw Róży w framudze okna.

— Alboż nie mamy powodu? nie poradziwszy się nas, nie uwiadomiwszy nawet, rzuciłeś się do tak ekscentrycznego przedsięwzięcia. Ojciec powiada, że nie przypuszczał nigdy, iżbyś był takim dzieckiem.

— A mama? zapytał Józef trochę ironicznie.

Róża uczuła ironią, ale nie chciała na nią zwracać uwagi.

— Mama powiada, że nabierzesz złych obyczajów i złych nałogów, że albo darmo czas zmarnujesz i porzucisz to gminne zajęcie, albo...

— Albo co? no, śmiało!

— Albo zostaniesz między gminem gminnym człowiekiem.

— A moja piękna zagniewana kuzynka co powiada?

— Twoja kuzynka powiada, że zapewne cię już odeszło to dziwactwo, żeś spostrzegł, że twoje ramiona nie do dźwigania belek, i przyszedłeś nas prosić o przebaczenie.

— Owszem, dźwigam, dźwigałem jeszcze wczoraj. Patrz, oto dowody.

Róża cofnęła się z przerażeniem, spojrzawszy na wyciągnięte dłonie Józefa: prawa ręka szkaradnie nabrzmiała, lewa niewiele miała się lepiej, a obie pełne były bąbli i zadraśnień.

— Cóżes ty z sobą porobił? rzekła załamując delikatne białe rączki.

Józef w milczeniu ujął jedną z tych utoczonych rączek, przyłożył ją do swojej szerokiej, twardej, popatrzył na kontrast jaki tworzyły, a potem zerwał się, wykrzykując z nieudaną radością:

— Doskonale, ideał ręki! Nie widziałem piękniejszej ręki jak moja.

— Myślałam że o mojej mówisz, rzekła Róża z zadziwieniem i dąsem, ale widzę że im co brzydsze, tém bardziej ci się podoba.

— Jakto, więc chciałbyś żebym miał takie ręce jak twoje?

— Nicby w tém nie było złego. No, ale powiedz-że mi, kuzynku, do czego cię to dalej doprowadzi?

— Dalej, zostanę czeladnikiem, majstrem; założę warsztat...

— Pfe, czeladnikiem, majstrem, co za tytuły! I jakimi ofiarami zdobywasz sobie taką lichą na świecie pozycyę! Wyrzekasz się wyższego, ukształconego towarzystwa...

— Przepraszam, wcale nie myślę abdykować z tytułu ukształconego człowieka, ani zrywać związków z dobrze wychowanymi ludźmi. Czyż możesz przypuścić, że ulegnę wpływowi obyczajów tych ciemnych, choć w ogóle uczciwych prostaczków, z którymi wspólna praca mnie wiąże?

Widząc bezskuteczność napaści, panna Róża wykonała to, co w sztuce wojennej nazywają zmianą frontu, i przypuściła szturm z innej strony.

Przyznać należy, że była wcale dobrym taktykiem.

— Masz tyle przymiotów, tyle posiadasz wiadomości, że mógłbyś ważne przynieść usługi społeczeństwu, być jego ozdobą; a ty się zasklepiasz w lice majsterstwo. Nazwałabym to nawet samolubstwem, gdyby ztąd choć dla ciebie była jaka korzyść.

— Będzie i dla mnie i dla społeczeństwa, rzekł Józef z uśmiechem. Dobrze że pamiętasz o tém biędnym społeczeństwie, które po większej części służy za płaszczyk wygodny dla naszych osobistych widoków. Ale jedno z drugim godzi się doskonale; w zwykłym, spokojnym biegu spraw ludzkiego żywota, rozumnie i uczciwie służąc społeczeństwu, służymy sobie, i naodwrot. To tylko nieszczęście, że każdy pragnie Bóg wie jak wielkiego zakresu dla swoich działań, każdy chce być Taillemandem, Rot-szyldem, lub Napoleonem, z czego wynika że zostaje niczém. W małym kółku niech każdy dzielnie pracuje jak może, a niezawodnie społeczność urośnie. A któż u nas sumiennie użytkuje z tych małych sił jakie posiada? Pokaż mi kogo.

Lekki, sardoniczny uśmiech, zwykle panujący na ustach Józefa, znikł zupełnie, rumieniec zapału wystąpił mu na twarz sładą, czarne, głęboko osadzone oczy błyszczały niezwykle, ton mowy, dotąd żartobliwy, stał się ostry. Takim jeszcze go nigdy Róża nie widziała.

— Mniej więc każdy robi to, co mu obowiązek nakazuje, rzekła po krótkim namyśle. Ojciec gorliwie urzęduje, opiekuje się nami; mama przecież dobra gospodyni i matka domu.

— Ty dobra córka, temu nie przeczę. Ja też nie napadam na wasze serca, ale na zakres pojęć w których przywykliście się obracać.

— Podejrzynam cię, że bardzo złe masz o nas wszystkich wyobrażenie; powiedz prawdę.

— Mam złe wyobrażenie o całej sferze w której żyjemy, a ciebie chciałbym widzieć lepszą od ogółu.

— Więc cóż mam robić, żeby ci się podobać? zapytała Róża z czarownym uśmiechem.

— Najprzód, ponieważ o tém mowa, nie potępiam mnie za to że obieram sobie inną drogę niż wszyscy twoi znajomi. A potem rób wszystko to, co ci prawdziwa miłość dla rodziców, sióstr, braci i narzeczonego wskaże.

— Oh, Tomasz! jemu pewno najwięcej masz do zarzucenia.

— Najwięcej, bo młody i mężczyzna. Powinnaś go swoim wpływem ożywić, zachęcić do czynniejszego życia, do pracy umysłowej, do większej energii w jego zawodzie. Nic tak nie dodaje siły jak miłość; przez miłość wszystko mu łatwem się stanie.

— Musisz być okropnie zakochany, kuzynku, rzekła Róża, zatapiając w niego swoje łagodne szafirowe oczy.

— Tak, zakochany jestem, odpowiedział Józef z uśmiechem.

— Któż szczęśliwa jest przedmiotem tej miłości?

— To tajemnica.

— Doprawdy, mógłbyś mi się zwierzyć, mówimy tak poufnie.

— A jak mnie wydasz z sekretu?

— Nie wydam, masz słowo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY TEOFILA LENARTOWICZA, o literaturze i sztuce włoskiej.

(Dokończenie.)

Rozmarzony wrażeniami jakie mistrzowskie malowidła na mnie sprawiły, byłbym pragnął w tej pustej kaplicy pozostać dłużej samotnie, by wpatrywać się w dzieła ręki już dawno w proch obróconej; ale cicerone wyrwał mię z marzenia. „Signore, powiada, musimy się pośpieszyć, bo kościół zamykają, a panowie zapewne widzieć go zechcą.“ „A czy jest w nim co godnego widzenia?“ „Ho, piękny kościół.“ Idziemy więc, i tuż na wejściu wprost wielkich drzwi dziwny uderza mnie widok. Na małym wyniesieniu biało okrytym, trumienka niebieska, a w niej postać mała, jakby z wosku, biało przybrana i przystrojona cała polnemi kwiatkami, wieńcem ją okrażającami. Pomyślałem że to zapewne figurka jaką świętą wyobrażająca; dopiero podszedłszy bliżej, spostrzegłem że to było umarłe dzieciątko! Na ten widok ból jakiś niewysłowiony, serce mi ścisnął. A przecież nie po pierwszy raz widziałem zblizka ciało martwe. I czemuż ten nagły smutek? czemu tak boleśnie było mi widzieć po tej zółkłej dziecięcej twarzyczce chodzące muchy, nie omijające nawet zagasłych a nawpół otwartych oczu? Mimowolnym gestem opędnąć muchy zacząłem i po krótkiej chwili, nie spojrzawszy wkoło na kościół, wyszedłem śpiesznie ze ścisniętym sercem. Nie byłożto przecuciem, że w kilka lat później na tych brzegach pięknych a tak smutnych ciężką ponieść miałem stratę?... (*)

Ale zwróćmy się ku głównemu przedmiotowi, ku arcydziełom Dominikina. Podążyłem z towarzyszem drogą, od klasztoru ku Frascati prowadzącą, i wzrok mój w zawody z myślą puściwszy, utonąłem oczami w rozległej przestrzeni otwartej przed nami Kampanii. Ozłocona słońcem w pełnym blasku, niezmiernie ozłocona zdała mi się ta równina. Nie spotkasz tam ni zwierza, ni człowieka w skwarnych południa godzinach. Cisza głęboka była tego dnia w powietrzu; ani się wietrzyk ruszył, ani owad zabrzęczał, ni doleciał odgłos dzwonka u szyi bawołów zawieszonych. I zdało mi się że na pustyni, zdala od powszedniego życia ucywilizowanej ziemi, że udaję się w pielgrzymkę w nieznane dalekie kraje, i dobrze mi było z tą myślą. Uciszyły się w duszy rozbudzone żale, i kołysany jednostajnym stapaniem osielka, przestałem myśleć, marząc tylko jakby we śnie. Po dłuższym pochodzie bydlęta nasze przystawać zaczęły; ja i mój towarzysz pomyśleliśmy o upe-

wnieniu się, czy istotnie ku Frascati się kierujemy; więc podjechawszy ku stojącemu nieopodal drogi domkowi, rozpytaliśmy się i ruszyli dalej.

Przy skręcie wązkiej dróżki, ocienionej oliwnymi drzewami, otworzył się moim oczom krajobraz, który zdało mi się że już kiedyś widział. Poznałem te na horyzoncie zlekka narysowane odległe góry grzbiety, i te bliższe plany rozległej Kampanii, mieniające barwy swe w miarę zbliżenia, i na boku po za wijącą się ku miastu drogą to wzgórze, a obok wielki, piękny dąb zielony... — „To freski Dominikina!“ wykrzyknąłem, przestraszywszy prawie towarzysza mego, który przed chwilą żalił się na długą drogę, na pragnienie i głód, utyskując że ledwie ukazują się nam dachy willi otaczających Frascati, gdzie mieliśmy obiadować. Widok przezemnie podziwiany, była to część Kampanii jaką mistrz wybrał za tło obrazu w kaplicy Grotta Ferrata. Co za umiejętność w oddawaniu piękności natury! jaka potęga myśli i pamięć najmniejszych szczegółów! Wielki to prawdziwie Boży dar, sztuka, pomyślałem; szczęśliwy kto w tym odrębnym świecie odosobniając się, od poziomego, rzeczywistego i tak brudnego często świata uciec może, czerpiąc natchnienie w otwartej zawsze księdze natury i ku Stwórcy wszechpiękności duszę swą podnosząc. Błogo mu zapewne upływają te samotne pracy godziny, których owoc w odległe lata krzepić ma niejednego wędrowca życia trudem zwątlonego.

Dominikin był zaiste jednym z owych cichych a poważnych pracowników, artystów prawdziwych, czujących wielkość swego powołania i wbrew przemagającemu wpływowi złej ludzkiej natury, stawiających przed oczy społeczeństwa swego typy prawdziwe cnót wyższych.

Jeśli Rafael stwarzał idealne postacie, a Michał Anioł siły i potęgi był wyobrazicielem, Dominikin ostatnim jest artystą, który po za obrębem zdemoralizowanego społeczeństwa szukał i znajdował typy do swych arcydzieł. Jego apostołowie to ani ascety, ani filozofy, to prostacy święci, wybrańcy Boży z ludu jego, męczennicy i męczennice; to nie patrycyusze ani wyjątkowe istoty, lecz ludzie szczerze wierzący i miłujący Boga i bliźnich swoich.

Pośród obrazów Dominikina najwięcej uderzających prawdą, wymienić należy w kościele San Andrea della Valle w Rzymie jego freski kolosalnych figur czterech ewangelistów. Ogromna ta kompozycja równa się co do siły i powagi mistrzowskim tego rodzaju dziełom Buonarrottego. Inne freski w kościele San Luigi dei Francesi, przedstawiające ustępy z życia i męczeństwo św. Cecylii, są zdaniem moim nieporównane.

Święta Cecylia Dominikina całkiem utraciła cechę pogańskiej wielkości; przyjmując chrzest i uwierzywszy w Boga jednego i Chrystusa miłującego ubogich, stała się szczerze siostrą służebnic swoich.

Nie zdarzyło mi się doznać większego wrażenia przed żadnym męczeństwem obrazem. Pośród grona służebnych, na marmurowej posadzce, leży męczennica, podtrzymywana przez jedną z kobiet. Postać Cecylii dziewiczych kształtów, dotknięta świeżo odebrany cios, przejmując nadewszystko wyrazem twarzy. Głowa ku ramieniu przechylona, pozbawiona fizycznej siły, dźwiga się przecie wyższą siłą ducha ku górze, z kądem ukazując się postacie anielskie palmę jej przynoszą. Oczy świętej gasnące, patrzą jednak, a to z wyrazem tak dziwniej mocy, że zrozumieć dają iż Pan wybranym swoim ukazuje otwarte niebiosy, w chwili gdy dla miłości Jego śmierć przyjmują. Otaczające postacie niewiast, w rozmaitych postawach nad umierającą pochylone, są wszystkie po mistrzowsku pojęte i oddane, w sądzę bowiem z nich artysta oddał cechę odrębną załości. Jedna, ta co przykłąknawszy podtrzymuje Cecylią, utonąła wzrokiem w obliczu ukochanej swej pani a siostry w Chrystusie; druga obok klęcząca ze złożonymi rękami, zdaje się już do niej modlić jako do świętej; trzecia białą chustą zbiera z wyrazem cześci i żywej wiary krople krwi męczeńskiej na marmur ściekające; słowem w obrazie tym zamyka się świat cały serca ludzkiego, świat mianowicie kobiećej, najgłębszej a cichej miłości i wiary. Na twarzy świętej rozlana harmonia niebieska, której wyobrazicielką martyrologia chre-

ściańska św. Cecylią uznaje. Mistrz co tak wysokie sfery z taką prostotą a porywającą oddał prawdą, wierzył sam głęboko i tam szukał światła, z kądem ono jedynie wypływa: w modlitwie cichej do Boga i w czystych prostacznych sercach. Ale też kto ukochał biednych i dla miłości Bożej cierpiących, ten musi sam być biedny i cierpieć i walczyć na swój drodze przez życie całe. Taką właśnie była dola Dominikina.

Był naówczas w Rzymie podrzędny malarz Lanfranco, dworak-materyalista, w wielkich łaskach u panów i za arbitra przyjmowany. Zręczny wyskiewicz potrafił stawić się jako współzawodnik genialnego Dominikina, intrygą podkradając przeznaczone mu ważne prace, jak naprzykład kopułę w kościele San Andrea della Valle, gdzie Dominikin, wymalowałszy owych czterech ewangelistów, dalsze już przygotował kompozycje. Kardynał, za którego rozporządzeniem malowanie kopuły było przedsięwzięte, nie zobaczywszy nawet planów Dominikina, zbył go lekką wymówką i oddał Lanfrancowi tę zaszczytną pracę. Zwiędzając dzisiaj kościół, każdy kto ma jakiegokolwiek poczucie piękna, spostrzeże jak lichą malaturą jest kopuła, obok podpierających ją figur czterech ewangelistów. Są to postacie żywe, potęgą ducha przejmujące, w winnicy Pańskiej robotnicy, poważni a pełni prostoty; malowanie kopuły, to dekoracja teatralna jaskrawych kolorów, bez myśli głównej, z szukaniem tylko efektu chybionego zresztą. A przecież ówczesni protektorowie sztuk pięknych, doskonale osądzić zdolni tę różnicę, nie usunęli Lanfranca, nie oddali sprawiedliwości Dominikinowi.

Dopiero gdy zgryziony i zniechęcony artysta Rzym opuścił, podnosić się zaczęły głosy sławiące wyższość jego nad wszystkimi współczesnymi malarzami. Tak się dzieje i po dziś dzień, z niejaką wprawdzie różnicą; dzisiaj czekają aż ziemia przykryje człowieka, poczem napiszą o nim że był i to a to zrobił, jeśli notabene ta zaszczytna wzmianka ma być wstępem do eksploataowania na własny rachunek prac zmarłego.

Za powrotem do Bolonii, Dominikin wykonał kilka znakomitych obrazów, między którymi męczeństwo św. Agnieszki. Obraz ten olejny i wielkich rozmiarów, jakkolwiek z licznych złożony postaci, nie uderza kompozycją ogólną, w której artysta zastosoować się musiał do wymagań fundatorów, ale dwie główne figury, św. Agnieszki i jej kata, są osobnym obrazem takiej doskonałości, że na nie spojrzawszy, o reszcie się zapomina. Młodziuchna, zaledwie wyszła z dzieciństwa dziewczeczka, nawpół klęcząca, rzucona na stosie, który pomimo ognia podłożonego zająć się nie chce, uchwycona za ramię przez kata wznoszącego miecz nad nią, patrzy w niebo wzrokiem trwożnej dzieciny, jakby pytając co złego zrobiła. O ile w postaci św. Cecylii oddana jest ekstaza, o tyle św. Agnieszka jaśnieje niewinnością dziecięcej wiary, a tak po mistrzowsku malarz na tej wątłej, drobnej postaci rozlał i skoncentrował światło, tak promieniejącą jasnością obłąkł twarz świętej, od jej śnieżnej szaty czyniąc ją świetniejszą, tak prawdziwy stawił kontrast w postaci kata, człowieka zbydlęconego, brutalnej siły wyobraziciela, — że w miarę przyglądania się straszemu dramatowi, dojmujący ból serce przeszywa i łyż do oczu się cisną. Przynajmniej ze mną tak się stało, czego nigdy przed żadnym malowaniem (a widziałem ich wiele i mistrzowskich) nie doświadczyłem. W tejże samej galerii znajduje się drugi obraz Dominikina, Ukrzyżowanie Chrystusa Pana, mniejszej wartości od innych, w którym nie przedmiot główny zatrzymuje oko, ale dwóch w powietrzu wiszących aniołów, z wyrazem płaczu tak przejmującym, że zdaje się iż słyhać głos szlochania tych niebiańskich gości.

Dominikin, człowiek charakteru łagodnego, niezwykłej skromności i życie zaciszne miłujący, tém więcej wystawiony był na pociski nieprzyjaciół, że nigdy się bronić nie próbował nawet. Zamknięty po całych dniach w swą pracowni, zdarzało się iż domowników przestraszał nagle, wydając głośne westchnienia, lub płaczem i jękiem odzywając się w samotności. Gdy pukano do drzwi, pytając czy nie chory, odpowiadał że nic mu nie jest, że pracuje i prosił żeby mu nie przeszkadzano. W tych często powtarzających się objawach zaczęto upatry-

(*) W kaplicy cmentarza *Antygnano*, pod górami wznoszącymi się nad morzem, pochowane zostało jedyne dzieło autora tej korespondencji, na którego grobowym kamieniu wyryto:

Jasiowi Lenartowiczowi,
zmarlemu w *Antygnano* d. 25 lipca 1864 r., nieszczęśliwi
rodzice ten kamień położyli:

„Ledwie roczek przebywszy, rozstałeś się z nami.
Ty w niebie — a my wkoło patrzymy ze łzami,
Czy się nie zobaczymy, czy z jakiego kąta
Nie wyjrzy do nas liczko naszego dzieciątka,
Czy ojca nie zawoła, — k' matce się nie skłoni,
Kwiatku niebieski! prędko uschłes w naszej dłoni.
(Przyp. redak.)

wać symptomata pomieszczenia zmysłów; lecz po bliższym śledzeniu przekonano się, że [przy układaniu kompozycji, przejmując się przedmiotem swoim, wpadał w stan egzaltacji i cierpienia. Dla zmaterjalizowanego społeczeństwa czułość podobna była dziwactwem i w śmieszność podawano ztąd Dominikina. Znaleźli się jednak i w owym czasie ludzie szlachetniejsi, uznający wysoką wartość zapoznanego od świata artysty. Najwymowniejsze świadectwo dał o tém znakomity współczesny malarz francuzki Poussin, który gdy zobaczył obraz Dominikina, komunią św. Hieronima (*), w uniesieniu pobiegł do mieszkania jego, by ucałować rękę jedynego owiej epoki malarza, jak mówił. Za obraz ten dygnitarz jakiś dał ledwie osiemdziesiąt skudów, targując się jeszcze podobno, gdy Lanfrankowie czasu onego bywali złotem osypywani.

Przypomniano sobie jednak o Dominikinie w Rzymie, gdy zabrakło wyższych zdolności architekta do prowadzenia fabryki Śgo Piotra, a że wiadano iż syn szewca Zampierri zajmował się w cichości naukami, i kształcał się wszechstronnie, szczególniej architekturę studyował, wezwano go tedy na dyrektora fabryki Śtego Piotra. Następnie wice-król Neapolu zapragnął mieć i obrazy roboty Dominikina, a jednocześnie municypium tamtejsze zażądało, by przybył malować al fresco kaplicę del Tesoro w Neapolu, dokąd też wybrał się artysta na dłużej. W Neapolu przyjęty został z razu zaszczycie, oddano bowiem pod jego rozporządzenie zaczęte przez innych malarzy roboty; ale niezadługo jad zaawisi struń mu nadzieję pozostawienia w wielkich freskach godnego swój umiejętności świadectwa. Oprócz zgrai podrzędnych, usuniętych z przyjazdem Dominikina malarzy i ztąd zaciętych jego nieprzyjaciół, znalazł się tam dworak, gorszy od Lanfranca, chociaż zdolniejszy jako malarz, Hiszpan Ribeira zwany Spagnoletto, zauszniak i malarz nadworny wice-króla, u którego nieograniczone miał zaufanie. Ten człowiek zły z natury, był możnym intrygantem i dogadzał brzydkim instynktom swoim, upokarzając bliższych wice-króla ludzi. Dominikina od razu znienawidził, jako wyższego od siebie artystę i jako dobrego człowieka, tém samém prawem, jakim wąż jadowity nienawidzić się zdaje wszelkie niewinne stworzenia. Spagnoletto, zobaczywszy malowania Dominikina rozpoczęte w kaplicy del Tesoro, zdecydował w obec wice-króla, że Zampierri nie umiść pędzlem władać — i odtąd rozpoczęły się otwarte prześladowania Dominikina na wszystkie sposoby. Cierpliwość artysty nie zdołała rozbroić nienawiści, i w końcu zrozpaczony, widząc że godzą na zgubę jego, uciekł skrycie do Rzymu, gdzie znalazł gościnność u kardynała Aldobrandini w Frascati. Ale były to krótkie i ostatnie dla niego chwile wytchnienia. Żonę i córkę Dominikina zaarrestowano z rozkazu wice-króla w Neapolu, groząc że ich nie uwolnią aż do powrotu jego, a gdy pomimo to nie wracał, zażądano od papieża, by artyście rozkazał stawić się przed wice-królem w Neapolu. I stało się zadość żądaniu temu, i nikt się nie ujął za prześladowanym. Zmuszony wracać, za przybyciem do Neapolu był celem pośmiewiska dworaków, wystawiony na wyrafinowane upokorzenia ze strony Spagnoletta. Wice-król, zasięgając rady swego faworyta co do malowań Dominikina, kazał mu przerabiać i poprawiać ukończone obrazy, według zdania nadwornego malarza. I czyliż można pomyśleć większe upokorzenie dla genialnego artysty, jak podobne poddawanie go pod sąd o wiele niższego w sztuce i nauce! Wkrótce też nieszczęśliwy Dominikin, udrczony i gnębiony, zakończył życie w Neapolu, według niektórych biografów, otruty.

Kochający Boga i sztukę swoją nad wszystko, służył on prawdzie na przeznaczoną sobie drodze, cierpiał dla niej i za nią prześladowany umarł, a historia jego może być dalszym ciągiem historii aposto-

(*) Utwór ten, malowany do wielkiego ołtarza kościoła *S. Girolamo della Carita* w Rzymie, znajduje się dziś w galerii obrazów w Watykanie. Obraz téjże saméj treści, ale z bardzo znacznymi odmianami, w połowie przeszłego wieku nabyty został we Włoszech przez Michała hr. Przeździeckiego, pisarza w ks. litewskiego. Dzieło to znajduje się w Warszawie, w domu hr. Aleksandra Przeździeckiego, przy ulicy Senatorskiej Nr. 471 lit. a, i może być oglądane, za zgłoszeniem się do rządowego domu.

(Przyp. redak.)

łów. Wszakże Łukasz, jak legenda niesie, i Metody święty byli także malarzami.

Na Dominikinie kończąc nateraz korespondencje moje o artystach włoskich, winienem wytłumaczyć się czemu o tak wielkich mistrzach jak Leonardo da Vinci, Tycyan, Guido Reni, Correggio i tylu innych, zamilczalem; oto że nie miałem bynajmniej zamiaru pisanie w całej rozciągłości o sztuce włoskiej, ale o kilku tylko ludziach genialnych, na których promień Bożego natchnienia najwyraźniej się objawił.

Spółczesność tak zdemoralizowane jak było w wieku XVII, tak własnego ducha tłumiające, musiało zakończyć samobójstwem. Inietylko téż wszutkach pięknych, ale i w literaturze włoskiej w wieku XVII téż same widziemy oznaki; mimo protekcji Medyceuszów, przez cały ten wiek żaden się wielki nie pokazał filozof, poeta ani moralista. Zakładano akademie, pisano dzieła uczone, wydawano słowniki; ale w poezji co najznakomitszego, to jeszcze można nie czytać. Prawdziwi posłańcy Opatrzności prześladowani, jak Galileusz i Zampierri, oto co się znajduje na kartach historii literatury włoskiej w owój epoce. Zresztą każdy, kto zechce zajrzeć do dziejów, z łatwością sprawdzić to może.

Upadek sztuki dzisiejszy, jest także jednoczesny z upadkiem w literaturze; te same plamy dżumy moralnej widzieć się dają wszędzie, to samo robactwo hypokryzy i poniżenia porusza się i dworuje, posługując się to cynizmem filozofów bezbożnych, to teologią teologów nieludzkich.

We Włoszech w chwili obecnej znajduje się kilka indywidualności znakomitych: *Tomaseo*, filozof *Conti*, pedagog *Lambruscini*, poeta *Alcardi*; z artystów: rzeźbiarze *Dupré*, *Costoli*. O tych w następnych listach wam napiszę i także nieco o teatrze włoskim po *Alferim*.

NIESMIAŁY.

Komedia w jednym akcie.

Według Edwarda Paillerona i *Mur mitoyen*,

ulożył wierszem

Kazimirz Kaszewski.

OSOBY:

LUBICZ, właściciel majątku.
ZDZISŁAW, jego syn.
TURKALSKA, właścicielka majątku.
KLARA, jej córka.
KRĘTOSZ, doradzca Lubicza.
GMATWACZ, doradzca Turkalskiej.

Rzecz dzieje się na wsi, pod miastem okręgowém.

Teatr przedstawia ogród. Na lewo wydatniejsze szpaler z al-taną, obok niej drzewo. Opodal w głębi widać dwa pola przedzielone murem starym, wprost widzów. Na przodzie stół ogrodowy, krzesła także, po bokach ławy. Na stole przyrządy do pisania. Kilka wejść bocznych i jedno w głębi.

Scena I.

(Przy podniesieniu zasłony Krętosz i Gmatwacz, z aktami pod pachą, stają naprzeciw siebie i patrzą na się w rozstrojeniu.)

KRĘTOSZ, GMATWACZ.

KRĘTOSZ.

Gmatwaczu! oh!

GMATWACZ.

Krętoszu!

KRĘTOSZ.

Czy wiesz co się święci?

GMATWACZ.

A wiem!

KRĘTOSZ.

Godzą się!

GMATWACZ.

Godzą!

KRĘTOSZ.

Bezwstydni klienci!

GMATWACZ.

Taki piękny procesik!

KRĘTOSZ.

Pięć lat płynął gładko!

A dziś mój klient Lubicz...

GMATWACZ.

Godzi się z sąsiadką,

Moją klientką!

KRĘTOSZ.

Tyle było ceregieli,

Aż oto...

GMATWACZ.

Nasz akcydens raptem diabli wzięli.

Oh, boleść mnie pożera!

KRĘTOSZ.

Ja ją z tobą dziele.

GMATWACZ.

Pięć lat, i cóż ztąd? moglić czekać jeszcze śmieie. I co ich tak korciło?

KRĘTOSZ.

Nienawiść szalona.

GMATWACZ.

Jakto?

KRĘTOSZ.

Bojaźń...

GMATWACZ.

Przegranéj?

KRĘTOSZ.

Nie; lecz żeby strona

Przeciwna nie wygrała. Niepewni osnowy Dalszych zdań sądu, poszli po rozum do głowy. Bo wszak się na przegraną żadne nie naraża, Gdy spór przetną ich dzieci u stopni ołtarza. Na wiano on synowi, ona córce swojej. Dają grunta wśród których ów sporny mur stoi, Usuną zobopólne do sporu powody, I tylko dla nas obu krzywda z téj ich zgody. Mógłbym ja się takiego spodzić rozwiązania, Gdy mi klient o zgodzie i mówić zabrania, Gdy mi zaliczył z góry sto złotych nagrody, Gdy pienił się ze złości i darł się za głowę, Na gwałt rozpoczynając kroki procesowe?

GMATWACZ.

I jam nie sądził aby koniec był tak prędko, Gdym się pierwszy raz zbliżył do mojej klientki.

KRĘTOSZ.

Gdy on krzyczał...

GMATWACZ.

Jak ona...

KRĘTOSZ (udanym basem).

„Mur jest z mojej strony!”

GMATWACZ (udanym dyskantem).

„Mam dokument!”

KRĘTOSZ (j. w.)

„Wyraźnie stoi w protokule...”

Nie dam! choćbym ostatnie stracił pantaliony.”

GMATWACZ.

Ona bo znów mówiła: „ostatnią koszulę,” Naturalnie...

KRĘTOSZ.

A dziś już bez żadnej przeszkody

Zbierają się podpisać nikczemny akt zgody.

GMATWACZ.

Ah, nie mówmy już o tém: żal i złość mnie bierze. Jam do tego procesu przywiązał się szczerze, Jakoś mi żyć z nim było i miléj i zdrowiej. Spojrzę na biurko, — leży wolumin wspaniały: — Sprawa wdowy Turkalskiej przeciw Lubiczowi; — Te spory w moim sercu już gruntu nabrały. Często, gdym przy obiedzie mówił z mą jéjmością O téj sprawie, to ona płonęła zazdrością; I myślałem, jak przyjdzie ostatnia godzina, Ta sprawa przejdzie w spadku na Gmatwacza syna. I ot, wszystko w łeb wzięło przez ich chęci zdradne. Jeśli przez to nie umrę, to w chorobę wpadnę.

KRĘTOSZ.

Musim kielich goryczy wypić do ostatka.

GMATWACZ.

A jednakże, kolego, rzecz ta szła jak z płatka.

KRĘTOSZ.

Dzięki nam, bo z początku czémże była prosze? Głupstwo, marnota!... jakie złotych sto, nie więcej; A dzisiaj ona doszła do sześciu tysięcy!

GMATWACZ.
Sześć tysięcy pięć złotych, dwadzieścia dwa grosze.
KREŃTOSZ.
Jak ty znasz najdrobniejszy tój sprawy zakątek!
GMATWACZ.
To niedosyć. Tak świetny sprawy tój początek
Dobrze wróżył na przyszłość. Instancyj jest wiele,
A wszak się tu i owdzie znajdują przyjaciele,
Którzy pomocą swoją...

KREŃTOSZ.
O! smutnaż to dola,
Taki świeży procesik widzieć ściętym z pola,
Jak kwiat w chwili rozkwitu!

GMATWACZ.
On do nas należy!

KREŃTOSZ.
Do nas!

GMATWACZ.
Do nas!

KREŃTOSZ.
Ich zgoda równa się kradzieży!

GMATWACZ.
Nie! przysięgam wszem w obec, każdemu z osobna
Komu wiedzieć należy, że to niepodobna!
Dopuszczymyż, by na nas popełniono zbrodnię?
Zostawimyż ich w takim bezrozumnym szale?

KREŃTOSZ.
Nigdy!

GMATWACZ.
To jest nikczemnie!

KREŃTOSZ.
Bezwstydnicie!

GMATWACZ.
Niegodnie!

KREŃTOSZ.
Mój klient tego aktu nie podpisze wcale.

GMATWACZ.
Ni moja. Mniejsza czy nam to korzyść przyniesie,
Lecz chodzi o zasadę.

KREŃTOSZ.
To w ich interesie.

RAZEM.
Tak, to w ich interesie.

KREŃTOSZ.
Brońmyż więc zasady.

Ich upór może jeszcze zerwać te układy;
Akt nie jest podpisany.

GMATWACZ.
I nigdy nie będzie.

RAZEM.
W ich tylko interesie.

KREŃTOSZ.
Mamyż mieć na względzie
Ich obawy, widoki? A co nam do tego?
Oni sobie, my sobie; wszak prawda kolego?

GMATWACZ.
Rzucić proces w tym punkcie, byłaby rzecz zdrożna,
Nie dlatego że przezeń coś skorzystać można...
Wierzaj mi...

KREŃTOSZ.
Ależ... co znów... jakkolwiek z pozoru...
Lecz w gruncie dla honoru...

GMATWACZ.
Tylko dla honoru.

RAZEM.
Niema zgody!

KREŃTOSZ.
Choćby on zginął w tym procesie!

GMATWACZ.
Choćby ona przepadła!

RAZEM.
To w ich interesie.

GMATWACZ.
Ale co począć?

KREŃTOSZ.
Czekaj, wyłożę-ć me plany...

GMATWACZ, spóźniając na prawo.
Turkalska z córką.

KREŃTOSZ, pociągając go.
Skryjmy się obok altany,
Żeby nas nie spostrzegły.

(Stają w krzewach po za altanę; w tój chwili wchodzi Turkalska,
a za nią Klara).

Scena 2.

TURKALSKA, KLARA.

TURKALSKA, oglądając się wkoło.
Cóż to, prze Bóg miły!
Niema nikogo?... Myśmy jednak się spóźniły;
Pan Lubicz ze swym synem czekać nas tu mieli.
No, niebardzo to grzecznie na obywateli.
Więc, Klarcu, rzecz skończona...

KLARA.
Nie, mamochana.

TURKALSKA.
Co znów mówisz?...

KLARA.
Ja kocham kuzynka Juliana.

TURKALSKA.
Eh, dajże pokój! Taka mowa nie przystoi
Klaro, twemu wiekowi, a tój mniej płci tвоеj,
I tój zdrożniej brzmi w ustach tvojich takie słowo,
Że wkrótce już masz zostać panią Zdzisławową.
Czy słyszysz Klaro?... żonę herbowego pana...
Cóż ty na to?...

KLARA.
Ja kocham kuzynka Juliana.

TURKALSKA.
Bredzisz! Myśmy mieszczenie. Rządni i wytrwali,
Pracą, trafem, do tójśmy wsi się dochrapali,
A Zdzisław jest familiant; oni zaś jedyni
Mają coś, co ich do nas podobnymi czyni.
Przez to... przez te... przez takie... nie wiem czém się
Ale grubo ten błądzi, kto się z tego śmieje. [dzieje,
Starodawne nazwisko, na chustkach korony,
Stosunki z wielkim światem, otwarte salony,
Wszak to rzecz, przyznać musisz, bardzo pożądana,
Nieprawdaż, Klaro?

KLARA.
Kocham kuzynka Juliana.

TURKALSKA.
Ej, twój kuzyn już przepadł!

KLARA.
Przepadł? Co ja słyszę!

TURKALSKA (na stronie).
Mamże jój wręcz oświadczyć
(wysuwa do połowy list z za szala).
co mi ojciec pisze?
(chowa list napowrót)

Nie; później.

(głośno)
Więc ty sądzisz w naiwności swojej,
Że przy daném ci słowie on wciąż jeszcze stoi?

KLARA.
Zapewne.

TURKALSKA.
Choć w Warszawie bawi już dwa lata?

KLARA.
Cóż ztąd?

TURKALSKA.
Warszawa młodym często figle płata.

KLARA.
Jako?

TURKALSKA, zakłopotana.
To jest...

KLARA.
Rozumiem...

TURKALSKA.
Doprawdy?

KLARA.
Cóż złego,
Że się czasem kolega zabawi z kolegą?

TURKALSKA.
Gdybyż tylko z kolegą...

KLARA.
Jak, mamoch?...

TURKALSKA, machnąwszy ręką.
Eh, mniejsza!...

Pomówmy o Zdzisławie, bo to rzecz ważniejsza.
To wcale ładny chłopiec; trochę bojaźliwy...

KLARA (na str.)
O, i bardzo!

TURKALSKA.
Lecz wreszcie kawaler prawdziwy.
Ale co; znasz go dobrze... powab, godność, siła...

KLARA (na str.)
Bez wąsów.

(głośno)
Jam na niego wcale nie patrzyła.

TURKALSKA.
Nie patrzyłaś... tak, panny bo nie patrzą wcale;
Nie patrzą, ale zato widzą doskonale.
Wiedz, że się teraz wają twoja przyszłość cała.
On cię kocha, wiem, i ty będziesz go kochała.

KLARA.
Nigdy!

TURKALSKA.
Nigdy, to termin trochę zadaleki,
Skróć go choć do połowy, a nawet do ćwierci.
Kobieta, raz z swym mężem złączona na wieki,
Kocha go... przedź, później... a choćby po śmierci.

KLARA.
Ja kocham kuzyn...

TURKALSKA.
Cicho bądź!

KLARA.
Mamo, na Boga!

Ja z tego umrę!

TURKALSKA.
Nie bądź głupią, moja droga!

Pójdiesz za niego!

KLARA.
Nie!

TURKALSKA.
Co?

KLARA.
A to projekt śliczny,
Żeby dziecko poświęcać za swój mur, graniczny!
To się zwie...

TURKALSKA.
Ani słowa!
(patrzy na zegarek).
I kiedyż zobaczę

Nareszcie moich panów?
(do córki)
Co ty robisz?

KLARA.
Płacę...

TURKALSKA.
Przestańże, Klarcu, przestań; bądź wyrozumiała!
Ten mur... kawaler... proces... jabym oszalała!
Wprawdzie zniszczony... ale nie chodzi o sumy...
Chłopiec... za chłopca... cóż, i jaćmam trochę dumy.
Przebrać, ah!... ten mur... Pomyśl... herbowego pana!...
Wreszcie dałam już słowo... Zapewne.. tak, gdyby
Pewność, że ja ten proces wygram bez ochyby,—
Ale nie wiem... więc układ... sprawa niewygrana,
Lecz i on z mój przegranej nie będzie miał chluby.
To dla twojego dobra... nie chciój więc mój zguby.
(Spoziéra na lewo)

Al wychodzą nareszcie ze swoich podwoi!
Niech nie mają pociechy, zem na nich czekała.
Pójdźmy chwilę. Rzecz tedy między nami stoi;
Ucałuj matkę!

(całuje ją)
Tak, ty kapryśnico mała.
Powiedz sama... wyjść za mąż za takiego pana...
Nieprawdaż, co?

KLARA.
Ja kocham kuzynka Juliana.

(Wychodzą przodem na prawo, w chwili gdy Lubicz ze Zdzisławem wchodzi z lewej strony).
(Dalszy ciąg nastąpi).